№ 39.

Warszawa dnia 18/30 Września 1865 r.




# NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

## SERCE I ROZUM MAGDALENY

**POWIEŚĆ,**

PRZEROBIONA Z FRANCUZKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

Przycisnęłam piękną jéj główkę do piersi płacząc, ale teraz łzy moje nie strapiły jéj, sądziła że to z radości.

— Ludwiko, rzekłam nagle, patrząc na nią badająco, z chęcią wyczytania głębi jéj duszy, myśl jakaś, szaleństwo dziwne, mnie trapi. Trzeba żebyś mi pomogła do wyjścia z tego cierpienia. Pomyśl tylko że tu idzie o szczęście mojego i twojego także życia. Zastanów się nim odpowiesz.

— Przerażasz mnie! — zawołała starając się uniknąć mego wzroku.

— Ludwiko, zagadnęłam poważnym głosem — czyś pewna tego że kochasz Roberta?

Osłupiała na to pytanie, usiłując odgadnąć do czego zdążam.

— Dla czego pytasz mnie o to? Wszakże wiesz o tem tak jak ja sama. Tysiąc razy to ci mówiłam. Czy go kocham?.... O! z całéj duszy! Co znaczy to pytanie, to uroczyste wejrzenie?

I patrzyła także na mnie wielkiemi oczyma błyszczącemi niepokojem. — Coś chciała mi powiedzieć? mówże!.. Czyś chora? Czy wiesz co?... Sądzisz więc że on mnie nie kocha?

Głos jéj był zmieniony, zestrachany: jakby domyślała się wyroku, stanowić mającego o życiu jéj lub o śmierci.

— Otóż! powiedziałam powoli — gdyby rzeczywiście kochał inną?....

Krzyknęła boleśnie, cała drżąca i blada jak trup.

— Lepiéj umrzeć — wyjąkała stłumionym głosem i takim akcentem że mi rozdarła serce. O Magdaleno!

Złożyła ręce i nie mogąc dorzucić ani słowa patrzyła na mnie z błagalną trwogą.

Nie mogłam wytrzymać tego spojrzenia.... Uspokój się, rzekłam, przytulając ją do serca; widzę że go kochasz, przebacz mi żem o tem wątpiła, że cię przestraszyłam.... Tak, zniknąć, ustać powinna niepewność wszelka... Będziesz szczęśliwą, moja droga Ludwiko; bądź o to spokojna.

Uściskałam ją kilka razy i uspokoiłam łatwo. Pogodna ufność młodości szybko zastąpiła niepokój przechodni którym obudziła. Niedługo potem Ludwika opuściła mnie, lekka i już pocieszona. Zostawszy sama, rzekłam sobie żem zgubiona zupełnie. Wszystko winnam była stryjowi memu a nawet saméj Ludwice; godziłoż się wydrzeć siostrze méj to co ukochała? — Bo ona kocha go! — mówiłam sobie. Winnam oddać sobie sprawiedliwość żem nie słabła przed ofiarą, skorom poznała mój obowiązek. Odrzuciłam wszelką myśl, któraby rozrzewniać mnie mogła i postanowiłam odważnie rozdział zupełny między mną a Robertem.

Pora zejścia do rodziny zaskoczyła mnie wśród tych rozmyślań. Pozbierałam papiery z tytułem własności, które mi przyniosła Ludwika a które mi upadły na podłogę i powiedziałam sobie, że kiedyś może pojadę zakopać w téj samotni strapione serce moje, alem zaraz wygnała myśl tę z dumnym uśmiechem: poczułam taki hart w duszy, żem była pewna iż mnie ta boleść nie owładnie, nie zwycięży. Pragnęłam jak najprędzéj zobaczyć się z Robertem, aby los mój określić nieodwołalnie. Boleść poświęcenia znikała prawie przez dumę dokonanego obowiązku.

O godzinie trzeciéj Robert przyszedł jak codzień. Bardzo był bladym a Ludwika żartowała z niego, że tak złowrogie ma wejrzenie. Ja zaś nie śmiałam ani spojrzeć na niego, z obawy osłabienia w postanowieniu, ani się odezwać. Lekkie ust zaciśnięcie i brwi zmarszczenie zdradzały niezwykłe zakłopotanie Roberta. Zapewne tak samo jak ja, wyglądał chwili że-

byśmy zostali sami; lecz nie nastręczała się sposobność ku temu. Stryj wyszedł niezadługo, ale jak oddalić Ludwikę? Godziny ciężko upływały. Pogadanka szła nudnie, niespokojna postać Ludwiki, czującéj nasze strapienie, chociaż go nie rozumiała, moje własne wzruszenie, oczekiwanie czyniło nieznośnem.

Postanowienie moje nie słabło, ale czułam jednak, że mnie siły opuszczają. Ludwika wstała nareszcie zmordowana może mimowolnie brzemieniem tego długiego dnia; chmura zaciemniła mi wzrok gdy się drzwi za nią zamknęły: zostaliśmy sami. Mimo chęci podniosłam oczy na Roberta i spotkałam jego zwrócone na mnie z niespokojnym wyrazem, który mnie rozczulił.

— No cóż! rzekł nareszcie, co postanowiłaś, Magdaleno? czego mam się obawiać?

Milczałam, jakby żelazna klamra zamknęła mi usta. Chciałam mu powiedzieć: — Nie kocham cię i — nie mogłam zdobyć się na wyrzeczenie tych słów; odepchnęłam je, a inne nie przychodziły. Ciężkie milczenie obarczało nas, czas upływał a Ludwika mogła wrócić lada chwila.

— Magdaleno, zaczął znowu, nic mi więc nie powiesz?

— Cóż ci mam powiedzieć? — odrzekłam siląc się na uśmiech. Miłość o której mówiłeś mi wczoraj, miłość ta tak świeża, nie jest jeszcze, dzięki Bogu z tych, co umrzeć nie mogą. Zapomnijmy ją...

— Zapomnieć! czyż to możliwe? — zawołał z wyrazem prawdziwéj boleści. Cóżeś powiedziała? Taki więc wyrok twój? Nie zostawisz mi tedy żadnéj nadziei..?

Zatrzymał się, a gdym milczała, rzekł:

— Więc to prawda że mnie nie kochasz? Jakże to bolesne dla mnie!... Gdybym mógł uwierzyć że to Ludwika nas rozdziela! — Pozwól mi zbadać... Gdyby mnie zwolniła z zobowiązań moich, czybyś się zgodziła?

— Nie, nie! Ludwika nie zdoła nic zmienić w obecnem położeniu....

— Więc to nienawiść? pomruknął; cóżem ci zawinił?

— Przychodzisz zapóźno — odrzekłam odwracając głowę.

— Za późno!

— Winnam ci prawdę, odpowiedziałam z wysileniem; trzeba to raz skończyć!... Wiedz tedy że serce które zaprawdę zbytecznie cenisz, oddałam już....—

Nie wiem jak to kłamstwo wyrwało mi się z ust.

Prawda żem postanowiła odjąć Robertowi wszelką nadzieję; alem nie obmyśliła, nic nie postanowiła co do tego. Było to istotnie nagłe natchnienie, a skutek okazał się większym niżelim się spodziewała.

— To być nie może, rzekł, to być nie może! Co? więc te czyste, głębokie oczy oszukały mnie tak dalece? Tak dalece ukryły tajemnice twoje! Chyba nic nie dojrzałem, nic nie odgadłem?

— Nikt tego nie wie — odpowiedziałam skwapliwie, tak mi pilno było pozbyć się téj konieczności kłamania sercem i mową. Honorowi twemu, Robercie, powierzam to wyznanie.

Ukłonił się nie odpowiadając; milczeliśmy długo.

— A więc, zaczął znowu, wszystko się skończyło! Żegnam cię piękny śnie!

Posunął się kilka kroków ku drzwiom, potem wracając nagle zawołał: — Poznam tego którego nademnie przenosisz; poznam go!

— A gdyby i tak było, rzekłam spokojnie, myślę że będziesz pamiętał, iż powierzając ci moją tajemnicę nie dałam ci prawa nadużywać tego przeciw mnie. Usiadł ciężko na krześle. Wyjadę — rzekł — nie będziesz obawiać się mnie.

— Dla czego wyjeżdżać? Czego będziesz szukał zdala od nas? Wszakże tu masz rodzinę. Masz miłą i godną uwielbienia kobietę, żonę najlepszą, najdoskonalszą jaką wymarzyć możesz. i siostrę poczciwą, Robercie, dodałam podając mu rękę, — wierną przyjaciółkę, wierzaj temu! Pozwól się kochać, zostań.

— Aby świadkiem być twojego szczęścia, wszak prawda?

— O! — zawołałam nierozważnie — Bogu wiadomo że widok mojego szczęścia nigdy cię zapewne nieobrazi.

— Byćże to może?... Kochasz bez nadziei, mówisz? Więc zostanę; kto wie czy przyszłość.....

— Nię spodziewaj się niczego, Robercie, gdyż wiedz, że więcéj szczęścia widzę w samem tem oczekiwaniu, choćby wiecznie trwało, niżbym go miała we wszystkich szczęśliwościach téj ziemi...

— Dość, przestań! pomruknął przytłumionym głosem, niepotrzebna srogość taka.

I wyszedł.

Robert nie przyszedł nazajutrz. Listem bardzo zwięzłym, a imię Ludwiki dość oziębło było w nim wymienione donosił, że jest słaby. Stryj mój odwiedził z lekarzem domowym; zastali go w lekkiéj gorączce. Słabość ta, udawana czy rzeczywista, przeciągała się; stryj odwiedzał go codzień, ale Robert ledwo wspominał o nas i nie obiecywał odwiedzić. Wkrótce Ludwika niepokoić się zaczęła. Nagła tu oziębłość po takiéj skwapliwości, dla mnie tylko jednéj zrozumiałą była. I stryj także kłopotał się a ja drżałam, żeby którego poranku nie rozpoczął otwarcie rozjaśnienia téj okoliczności. Czego chce Robert? zapewne okazać myśl usunięcia się? Myśl ta męczyła mnie, jako jedynie prawdopodobna. Zakłopotana tem postanowiłam napisać do niego; ufając dobrym chęciom i poświęceniu się naszemu, rzuciłam się bez wachania wbrew zwyczajom i bitym drogom. „Wracaj, napisałam do niego, Ludwika cię kocha i umiera że nie przychodzisz. Pozwoliłeś wierzyć, nie troszcząc się ile na tem cierpieć ona może, i wkorzeniłeś miłość, do któréj wszystko ją zachęcało. Nie masz teraz prawa uciekać, unosząc pokój jéj młodéj duszy.“

I szłam tak daléj, pisząc bezładnie wszystko co mi natchnąć mogło najgłębsze przywiązanie do Ludwiki. Nowy ten płomień, ten zapał nieznany, który krążył w sercu mojem, od czasu jak byłam kochaną, objawiłam pełną falą w imieniu Ludwiki i za nią. „Czegóż spodziewasz się w przyszłości? — mówiłam mu teraz. Za czem będziesz gonił po świecie? Szczęście tu cię czeka; uśmiecha do ciebie i dłoń wyciąga, szczęście o którem ojciec twój marzył dla ciebie, po które sam tu przybyłeś, piękniejsze, lepsze niż wymarzyć mogłeś i wzgardzasz nim przez jakąś chimerę, urojenie, bom ja nie taka jak myślałeś: zdaje ci się że ukochałeś we mnie duszę nową, nie znającą miłości, tymczasem znam jéj słodycze i męczarnie. Cóżeś więc ukochał? i co teraz zrobisz z życiem twojem? Może je rzucisz

na cztery wiatry? Nie będziesz szczęśliwym, Robercie a zabijesz niewinne dziecko! Niebaczny, jak mogłeś nie widzieć, że ona widząc cię codzień, pokochać cię musi?!!

Napisałam kilka listów, pozostałych bez odpowiedzi, a musiałam je mimowoli powierzać domownikom do oddawania. Nie zwykłam wychodzić sama, a Ludwika nie opuszczała mnie wcale; potem czas ubiegał. Ze wstrętem i obawą jednak odważałam się krok taki powierzyć sługom. Niewątpliwie uważali oni długą niebytność Roberta i styczność ztąd moich skrytych listów, co mogło dać powód do złośliwych domysłów. Zuchwały wyraz poufałości, który postrzegałam u Justyny oddając jéj ostatni list, przekonał mnie żem się słusznie obawiała. Nie żałowałam przecież tęgo a upewniała mnie prawość moich chęci.

Daleko mocniéj trapiło mnie dziwne milczenie Roberta i wzmagający się smutek Ludwiki. Wyczekiwała go zawsze: drżała za najmniejszym szelestem, ilekroć otwierały się drzwi do salonu, palący rumieniec twarz jéj pokrywał; nie wiedziałam co mówić, jak odpowiadać na jéj pytania, na niespokojne jéj spojrzenia, boleśnie utkwione we mnie, jakby odgadywała, biedne dziecię, że ja tylko wiem dręczącą ją tajemnicę.

Stryj kłopotał się i martwił coraz bardziéj, od wielu dni nie był już u Roberta i unikał wymawiać jego nazwisko. Nieznośnem było takie położenie a czułam że dłużéj trwać nie może. Co robić? Byłam zniechęcona. Uznawałam się bezsilną do ocalenia Ludwiki; ale nie przychodziła mi wcale myśl oparcia mego szczęścia na szczątkach i ruinie jéj spokojności i — czułam że rozpada się budowa domowych naszych radości a nie umiejąc zaradzić, zakopywałam się śmiało pod zwaliskami.

Jednego wieczora wszyscy troje byliśmy w salonie. Ludwika, strapiona i cierpiąca, rzuciła się na kanapkę z zamkniętemi oczyma; chciała może snem skrócić długość niemiłego czasu; może też udając że śpi, spodziewała się tylko uniknąć konieczności udziału w wspólnem życiu. Stryj czytał a ja haftowałam zamyślona. Głęboka cisza panowała między nami, kiedy koło dziesiątéj godziny drzwi się otworzyły i Robert wszedł do sali. Nie mogłam powstrzymać okrzyku zdziwienia, a Ludwika zerwała się pod wpływem żywego wzruszenia, żem się aż przelękła, co tak objawiło minione obawy i cierpienia. Niepodobna określić wyrazu radości promieniejącéj na jéj twarzy; nie wiem ażali córka Żaira takiego doznała upojenia kiedy głos mistrza wyrwał ją z cieniów śmierci.

Robert nie wyglądał zupełnie jak chory; rozmawiał swobodnie i naturalnie jak zwykle, a na lękliwe wyrzuty Ludwiki odpowiadał po prostu:

— Byłem chory, cierpiałem, droga Ludwiko; ale wszystko już minęło i już cię nie opuszczę. I pocałował z uśmiechem drobne jéj paluszki.

Przyjęcie ze strony stryja mego było zrazu bardzo oziębłe, ale uraza jego nie ostała się w obec promiennéj radości jego córki. Biedna i droga Ludwika! zanadto kochała żeby udawać potrafiła; myśli takiéj nawet nie miała. Gdy Robert wrócił, zapomniała zaraz co wycierpiała i tak wesołą, tak miłą była jak dawniéj. Widząc ich razem rzecby można że wczoraj dopiero się rozstali i że nic szczególnego między niemi nie zaszło. Wieczór upłynął poufale, jak tyle innych, ale z żywszem uczuciem szczęścia, które uważaliśmy za prawne.

Od tego wieczora, Robert przychodził jak dawniéj: wszystko wróciło do dawnego trybu a owe dni bolesne znikły, jakby nigdy nie istniały. Zdawało mi się nawet że Robert był weselszym, bardziéj wynurzającym się niż pierwéj; uważałam to wszystko, nie wiedząc czy mam się cieszyć czy trwożyć.

— Słusznem było, rzekł mi za pierwszem na sam spotkaniem — gdyś powiedziała że za urojeniem gonię; ale przysięgam ci że wszystko skończone, znikło zupełnie. Była chwila żem myślał uciekać, potem, na wyjezdnem, postrzegłem że prócz ciebie cóś innego zatrzymuje mnie jeszcze we Francji, którą mi kochać kazałaś. Życie moje związało się teraz z życiem Ludwiki, z twojem, z tym ogółem istot i uczuć które tu poznałem a nie znajdę ich gdzieindziéj... Błogosławiłem listy twoje, bo mi oczy otworzyły. Tak, kochać będę Ludwikę, już ją kocham. Szaleństwem i zbrodnią byłoby uciekać od téj ujmującéj istoty, téj duszy białéj, na którą patrzeć mogę bez obawy że spotkam jakibądź cień obcy. Dziękuję ci Magdaleno, żeś mnie oświeciła; powierzyłaś mi wszystko otwarcie, szczerze, bez fałszywéj skromności; dzielne masz serce i zyskałaś we mnie najprzywiązańszego i szanującego cię brata.

Z naciskiem w głosie wymówił te ostatnie wyrazy, jakby dla zapewnienia mnie o przyszłości i zatarcia przeszłości.—Wierzę ci, odrzekłam podając mu rękę.

Tego jeszcze wieczora oświadczył się urzędownie o rękę Ludwiki.

(d. c. n.)

## WSPOMNIENIA

### Z MOICH PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

### II.

#### KAPITAN FORDON I DŁOŃ NIEWIEŚCIA.

W saloniku jadalnym na spodzie statku urządzonym, a zastawionym stolikami i krzesełkami niezmiernie malutkich rozmiarów, zastaliśmy już kilkadziesiąt osób ucztujących w największéj ciszy, zakłóconéj tylko szczękiem talerzy, brzękiem szklanek, zgrzytem noży i wydawanemi służbie rozkazami. Rozmowy prawie żadnéj nie było, bo Amerykanie nadzwyczaj wyrozumiali, czuli to dobrze, że w miejscu tak szczupłem tylko jeść potrzeba a nie rozmawiać, i jak najprędzéj usuwać się dla nowych przybyszów. Ochotników zaś nie brakowało, jedzono więc pospiesznie prawie żarłocznie, goście zmieniali się, a każdy nakarmiony szedł na pokład wypalić cygaro i z użytkować resztę niedopitéj butelki. Kiedy za przykładem drugich, wepchnęliśmy w siebie soczysty rozbef, zalewając go wybornem Bor-

do, na wierzchu statku część już nie głodnéj publiczności, zabierała się do tańca, tworząc pary kontredansowe. Muzyka właśnie ukończyła przegrywkę, publiczność nietaneczna usunęła się na bok, taneczna wkładała rękawiczki rozmawiając z towarzyszami lub szukając pary przeciwnéj, my rozkoszując się wybornemi hawanosami, oparci o słup poddaszny, spoglądaliśmy w milczeniu na ruch nas otaczający. Wreszcie stanęło na pomoście w dwa szeregi, coś ze czterdzieści par, grzecznych, przyzwoitych, elegancko nawet ubranych, zupełnie jak w salonie i gdy dano znak dla muzyki, szeregi taneczne ruszyły na przód, zmieniły miejsce i rozpoczął się taniec.

— „Prześlicznie! wybornie! — szeptał poczciwy Jakób dając takt nogą i poruszając całym sobą: „to się nazywa przyzwoity taniec, sztywny, zimny, widocznie ułożony i wyuczony na mogiłach pokoleń indyjskich. Nieznośni ci Amerykanie z tą swoją powagą i wymuszoną przesadzoną przyzwoitością. Ośmdziesiąt osób niby oddanych wesołości, a gdyby nie szelest sukni kobiecych, nie dudnienie pokładu, nie muzyka wreszcie, byłbyś pewny że tu nie tańczą tylko rozmawiają, witają się, żegnają, lub pokazują niektóre pozy, nowo do tańca wprowadzone. Gdyby nas Francuzów prawdziwych Paryżaninów, choć cztery uformowało się pary, pokazalibyśmy im jak się to tańczy... pomiędzy niemi można usnąć, ale nie zabawić się, ani umęczyć i zadowolnić tańcem aż do sił wyczerpania.“

— „Przecież was przydybałem“ — odezwał się nagle kapitan Fordon, ciągnąc za sobą Toma z dwoma butelkami szampana, „myślałem żeście ruszyli do tańca bo biedyż się bawić jeśli nie w młodości.“

— „Kochany wuj“ — odezwał się Jakób z pewnem zadowoleniem, spoglądający na odkorkowywanie szampana; „zawsze przy baterji nabitych.... butelek. Gust przecudowny, bo jedna kropla téj pieniącéj się amunicji, więcéj warta jak całe tuziny Amstrongów lub żłobkowanych albo gwintowanych zabójczych paszczy.“

— „Zgoda mój młody przyjacielu ale wasze zdrowie!“ odezwał się kapitan podając nam nalane szklanki; „nie uwierzycie ile mi wasza obecność sprawia przyjemności.

— „I nam to samo, nie wątp kochany wuju, bo gdyby nie twoja gościnność i życzliwość prawdziwie kuzynowska, to przyjęcie tak sute jużby nas pociągnęło do ciebie. Cóż dopiero przy twéj szczodrocie...“

— „Tak to lubię, to się nazywa szczerze i otwarcie“ — przerwał ze śmiechem kapitan — „dlatego zapraszam was na każdą Niedzielę do siebie na statek....“

— „Jakto?“ — zapytał Jakób — „ z befsztykami, Bordem, szampanem i hawanosami...?“

— „Tak, tak, czy cię to dziwi?“

— „Nie tyle dziwi jak cieszy“ odrzekł Jakób smakując wino i puszczając kłęby dymu, „gdybym mógł kanonizowałbym cię mój wuju za życia, nie władny tego, przyjmij rękę...“

— „Dziecko jesteś i prawdziwy Francuz,“ przerwał kapitan odpychając wyciągniętą ku sobie rękę— „zaraz musi występować z komplementami. Ot lepiéj pij, bo nas jeszcze czeka butelka prawdziwego Hiszpana, i do tego wiekowego bez przesady...“

— „Wiekowego.... miljon set! zacierając ręce przerwał Jakób; „wiesz co wuju, że kieszeń musisz mieć djabelnie pękatą, a przynajmniéj znakomicie pełniejszą od naszéj...“

— „Być może, a przynajmniéj od twojéj pustaku, ale się nie lękajcie jéj obchudzenia. Dwadzieścia pięć lat służby w marynarce handlowéj, i obroty kupieckie na własną rękę, pozwoliły mi tyle zaoszczędzić, że dziś jestem jeden z pierwszych akcjonarjuszów kompanii, utrzymującéj statki na wodach do komunikacji z Kanadą. Przyzwyczajony zaś do służby i pracy, dowodzę nadto tym statkiem, za co oddzielne otrzymuję wynagrodzenie. Kieszeń więc moja zawsze jest bezpieczna jak okręt na pełnem morzu, nie lękający się ani burzy ani rozbicia, że zaś nie mam rekinów w postaci kuzynów i kuzynek, coby zasoby jéj szarpały, ani sam nie jestem wielorybem połykającym na jeden kąsek tysiące śledzi i wypijącym na haust całe oksefta, więc kieszeń utrzymuje się w jednéj zawsze jak powiadasz pękatości, kontenta że się może otworzyć na traktament rodzonego siostrzeńca mojéj żony i jego przyjaciela.“

— „Wybornie! jestem twoim kochany wuju najuniżeńszym sługą.“

— „Więc pan dzieci nie miałeś? zapytałem zmięszany cokolwiek odezwaniem się Jakóba.“

— „Miałem czterech samych chłopaków, ale jednego tylko wychowałem i ten zginął w burzy przed laty czterema, przy przeprawie do Południowych Stanów. Na rok przedtem umarła mi żona także w podróży morskiéj, czem tak sobie obrzydziłem obszary oceanu, że przeszedłem na jeziora i rzeki, aby już na nich dobić resztę żywota.“ Oto w krótkości macie historją mego życia, smutnego jak każde życie człowieka dobijającego do przystani sześćdziesiątletniéj. Do koła mnie pustka i w pamięci pięć mogił do których szósta nie długo przybędzie... Rzekłszy to kapitan zamilkł, westchnął z czułością i chwilkę zadumał się. Była to nader uroczysta chwila, któréj nie tylko ja, ale gadatliwy mój towarzysz nie śmieliśmy przerwać.

— „Ale korzystajmy z chwili młodzi przyjaciele, jaką nam nadarza piękny dzień letni i wasze miłe towarzystwo, gdzie szklanki? odezwał się pierwszy kapitan.

— „Tak korzystajmy z chwili“ — wtrącił Jakób, „już mędrzec grecki czy francuzki powiedzieli to dawno, że najwyższy rozum człowieka jest umiejętne korzystanie z obecności. Zdrowie zatem twoje zacny kapitanie!“

— „O ty chełpliwy erudyto, prawdziwy Francuzie, z mięsem, szpikiem i kośćiami“ odezwał się kapitan trącając w pieniące się szklanki: „nawet w nowym świecie nie możesz zapomnieć o plemiennem swem zarozumieniu.“

— „Więc chcesz żebym był Anglikiem lub Amerykaninem?“

— „Chcę, żebyś był kochającym mnie siostrzeńcem i zawsze tak wesołym jak wczoraj i dzisiaj.“

— „Och! na to wszystko zgoda, ale z warunkiem mój wuju, abyś nie sądził, że szczerą moją przyjaźnią jaką powziąłem od pierwszéj wypitéj z tobą butelki, buduję kolej żelazną do twojéj szkatuły. Miejsce na statkach twojéj kompanji razem z moim przyjacielem, traktament z wszelkiemi dodatkami i wystrzałami

szampanowemi przyjmiemy chętnie, bo ubytkiem kilkunastu dolarów, nie wpadniesz w kłopotliwe rachunki z własną kieszenią. Na resztę wystarczy nam praca mnie pędzlem po ścianach waszych pomieszkań, a memu przyjacielowi ołówek razem z piórem dla paryzkich dzienników i illustracji. Od ciebie więc nic nie żądamy, tylko twéj życzliwości, bo i my nie wieloryby, picia nie mierzemy na oksefty ani jadła na baryłki śledzi...“

— „A niechże cię uściskam dzielny chłopaku, więc rekinem być nie chcesz? zapytał kapitan darząc uściskiem zacnego Jakóba.“

— „Ani nawet szczupakiem dla twojéj kieszeni, dzielny kapitanie, więc umowa zawarta. A teraz wiesz co wuju?“ i Jakób mówiąc to zniżył głos cokolwiek i z figlarnym uśmiechem poglądając na szereg tańczących, ciągnął daléj:

— „Idąc tu spotkaliśmy prześlicznego buziaka, ale niestety zginął nam wśród tłumu na lądzie. Wino, kontradans, muzyka, jakoś zbuntowały mi nogi, gdybyś mi więc znalazł towarzyszkę, puściłbym się w pląsy, a zaręczam że byś się nie powstydził za swego siostrzeńca. Na Prado w Paryżu nikt mnie w gracji nie dorównał, znasz kapitanie zapewne *Jardin bullier*, za ogrodem Luksemburgskim...“

— Nie znam, ale u nas jednak z taką wściekłością nie tańczą, jak mi to nieraz opisywano. Powagi przedewszystkiem nawet w tańcu przestrzegamy...“

— „Dziękuję, ale stosować się do tego nie myślę...“

— „To lepiéj nogi spętaj, a nie mięszaj się do nie swoich rzeczy. Przekroczywszy przyjęty zwyczaj, ujrzysz sto pięści wymierzone przeciwko sobie, nawet kobiety ochłoszczą cię szpicrutami, a gdy to nie pomoże, wrzucą cię do jeziora, i będziesz musiał być dzielnym pływakiem, jeżeli na jakie dni kilka na dnie jego nie osiądziesz.

— „Ale to barbarzyństwo!“ — zawołał oburzony Francuz; „nie wierzę jednak żeby kobiety miały tyle odwagi...“

— „Do czego? do użycia szpicruty?

— „Tak... tak... szpicruty czy pięści, to wszystko jedno“.

— „Nie wierzysz? patrz tam na lewo, na tę damę świeżo wyszłą z kajuty. To moja znajoma, zapoznam cię z nią bliżéj, ale wprzód opowiem ci wypadek w jakim dzielnie się znalazła...“

— „Ach! to ona, patrz! Michale, to ona, to nasza zguba,“ zawołał Jakób spoglądając na wskazaną sobie osobę, „puść kapitanie, muszę się z nią zaraz bliżéj zapoznać.“

— „Czekaj, nie zginie przecie, a ciekawéj się o niéj dowiesz rzeczy...“

— „Czekam i słucham.“

— „Jest to młoda osoba dwudziesto cztero letnia, mieszka razem z matką i utrzymuje ją z retuszowania fotografji i rysunków na drzeworyty.“

— „Więc koleżanka nasza, tem lepiéj...“ zawołał niecierpliwy Jakób.

— „Matka“ — mówił daléj kapitan — „rzadko wychodzi z domu, brat pracuje przy kolei północnéj w oddziale technicznym, panna więc wszystkiem jest dla siebie i opieką i opiekunem, jak sternik na morzu gdy burza wszystkie maszty wyłamie. Będzie temu rok blizko, płynęliśmy tak samo jak dziś. Pomiędzy wielu osobami była i ona, piękna, majestatyczna, ujmująca tak jak ją dziś widzicie. Jeden podobno z twoich ziomków, niech cię to jednak nie obraża, przyczepił się do niéj jak pijawka. Nadskakujący, ugrzeczniony, dostał przyrzeczenie tańczenia kontredansa, ale w tańcu uszczęśliwiony wyborem, z głośniejszéj rozmowy, przeszedł do cichych szeptów, wzdychań i wyznań miłości. Oburzona Karolinka spojrzała na niego z największą grozą i przeprosiwszy tańczącą z niemi na przeciw parę, porzuciła natręta na środku pokładu, a sama usiadła w tem samem jak teraz miejscu. Naturalnie zwróciło to uwagę ogólną, ale gdyby młodzik był schował wszystko do torby podróżnéj i wyniósł się cichaczem na sam koniec statku, nieporozumienie nie zostawiłoby najmniejszego śladu. Na nieszczęście ziomek Twój, nie miał tego taktu, i Karolinkę zaatakował dość uszczypliwie a nawet ubliżająco żądając tłumaczenia. Karolinka chwyciła za leżącą przy sobie przypadkiem szpicrutę i odrzekła, że jeżeli natychmiast nie uwolni jéj od swego towarzystwa odpowiedź udzieli mu szpicrutą, godną jego impertynencji. Napastnik odpowiedział jéj na to niezmiernie gburowato, dzielna więc Karolina spełniając pogróżkę, zerwała się i wymierzywszy uderzenie w twarz napastnikowi, sama cofnęła się gotując do obrony. Możecie sobie wyobrazić, jak to przyjął młody awanturnik, nie przyzwyczajony widać do podobnych wydarzeń. Zaczerwieniony jak rak morski świeżo ugotowany, z wyciągniętą pięścią, poskoczył ku szlachetnéj dziewicy, ale Karolinka miała się na baczności, i w jednéj chwili zmieniając pozycję szpicruty, w grubszym końcu na szczęście dla niéj zalaną ołowiem, dała raz w oczy napastnikowi tak silny, że ten zachwiał się i padł jak długi na pomoście. Wszystko to tak się prędko odbyło, że zaledwie zajęło czasu kilkanaście sekund. Bliżéj jednak stojący, widzieli wszystko, dali więc poklask odważnéj dziewicy, gdy inni z zadziwieniem spoglądali po niéj i po leżącym niemal u nóg jéj młodzieńcu. Wtenczas Karolina podnosząc szpicrutę w górę, rzekła:

— „Panowie! — ten jegomość ubliżył mi jako kobiecie, dla któréj wszędzie cześć i uszanowanie okazujecie. Ukarałam go więc lekkiem uderzeniem szpicruty, jako odpowiednią człowiekowi zapominającemu swéj godności. Od nastąpionéj z tąd napaści, obroniłam się ołowianą oprawą rękojeści, i oto leży napastnik u nóg téj, którą ośmielił się obrazić. Czy panowie weźmiecie mi za złe, żem podniosła rękę, na obronę własnego honoru żem aż musiała użyć siły przeciw brutalnéj napaści do jakiéj najmniejszego nie dałam powodu?

Powszechny oklask, był odpowiedzią na zrobione zapytanie. Młody awanturnik zasiniały, zapuchnięty, schował się między maszynistów na samo dno statku i od téj chwili ani go razu nie widziałem, a Karolinka stała się królową zabawy i od tego zdarzenia, szpicrutę zawsze ma przy sobie.“

— „Szpicrutę? — a to amazonka nowoczesna“— odezwał się Jakób rzucając ponure spojrzenie w stronę siedzącéj piękności — „przyznam się że zupełnie straciłem ochotę, do bliższéj z nią znajomości.

— „Dla czego? — zapytałem.“

— „Dla czego? hm!—Katonów nienawidzę w tużurkach, cóż popiero w krynolinie.“

— „Miła to niezmiernie osoba, światła, rozsądna“

odezwał się kapitan; „gdybym myślał kiedy jeszcze o żonie, to tylko z takiéj mógłbym zrobić wybór.“

— „Kiedy Jakób rejteruje,“ odezwałem się, „to proszę cię kapitanie zapoznaj mnie ze swoją znajomą.“

— „Zgoda! — chodź młody przyjacielu.“

— „A mnie to zostawicie?“ — spytał Jakób i razem ruszyliśmy przeciskając się przez tłum, który właśnie po ukończonym kentredansie rozchodził się w różne strony.

(d. c. n.)

---

## Kronika zagraniczna.

---

### IV.

Zbadawszy najcelniejsze zalety szekspirowego dramatu, zatrzymamy się ostatecznie u przekładu francuzkiego wszystkich dzieł dramaturga angielskiego.

Franciszka Hugona przekład francuzki wszystkich tworów Szekspira, wzbogacony obszernemi przypisami, objaśniającemi wszechstronnie płody tego genjuszu, policzyć wypada nietylko do rzędu najlepszych przekładów Szekspira ale i do prac najznakomitszych, jakie się pojawiły w nowoczesnem piśmiennictwie francuzkiem. Ze wszystkich myślicieli najzdolniejszemi do zrozumienia i wytłomaczenia dzieł Szekspira są niezaprzeczenie obaj Hugonowie, ojciec i syn. Już przed rokiem, kiedy Anglja i Francja zamierzały uczcić i uświetnić trzechwiekową rocznicę narodzin Szekspira, Wiktor Hugo pierwszy skreślił szczytną arenę największego dramaturga, pierwszy wzniósł mu pomnik uwielbienia, pierwszy rzucił światło na ten tajemniczy gmach, na który przez trzy wieki obojętnie niemal patrzyła się Anglja, czekając aż ją największy genjusz dzisiejszéj Francji nie poprowadzi do mogiły szekspirowéj i płomiennem słowem apoteozy, popchnie do złożenia czci i hołdu dramaturgowi całego świata. Dziś już i syn Hugona ujął na swe barki część pomnika szekspirowskiego — dziś, śmiało rzec można, pomnik Szekspira spoczywa na samych prawie barkach tych dwóch ludzi, oni sami unieśmiertelnili pracami swemi na zawsze potężnego monarchę pióra. Daléj w przedsięwzięciu iść nie można. Szczytna arena Szekspira, skreślona przez Wiktora, i genjalny przekład wszystkich płodów angielskiego dramaturga, dokonany przez Franciszka Hugona, zrównoważyły od razu wszystko to, na co tylko Niemcy przez dwa wieki ciągłego nad Szekspirem ślęczenia zdobyć się potrafiły. Anglja przyjęła ten dar potężny dwóch Hugonów, ale i Francji niemniéj pochlubić się wolno ludźmi, co tak wzniośle i gorąco zrozumieli sprawę umysłowéj wielkości, co w olbrzymich płodach genjuszu widzą coś więcéj, prócz rozgłosu i pompy narodowéj.

I z takich-to danych wyniknął ów wspaniały przekład Franciszka Hugona, przy którym znika każda inna praca, podjęta w myśli mniéj szlachetnéj i bezinteresownéj. Przy tem wszystkiem, potrzeba było innych jeszcze warunków wiernego przekładu spoczywających w głębinach wieku, w którym się żyje, a na które nie każdy z tłumaczów dzisiejszych zwykł się zapatrywać: trzeba było zrozumieć pojęcia i język swego wieku i wycisnąć z nich najpożywniejsze soki i dźwięki, ażeby za ich pomocą rozwidnić czasy i twory Szekspira w oczach Francuzów. Franciszek Hugo znalazł język dla swego poety, znalazł go w języku Francji z czasów reformy. Chcąc krajowi swemu dać Szekspira w postaci jawnéj i naturalnéj, należy przedewszystkiem nie spuszczać z uwagi, że język z czasów tego poety żadnym innym językiem odkopjować się nieda; próżne to mozoły tłumaczów, chcieć język z przed kilku wieków, i do tego język obcy, ujawnić raz jeszcze! To zakres, którym się wykrzywia mimowolnie najszlachetniejsze chęci i spożera w jednéj chwili pracę kilkoletnią. Franciszek Hugo pojął bardzo trafnie, że dopóki z języka pierwszego cesartwa nie usunie się raz na zawsze pustéj i błahéj określności wyrazów, i nie rozwieje się wpływ wycieńczonego i zniewieściałego klassycyzmu z czasów napoleońskiéj świetności: dopóty Szekspir w przekładzie francuzkim nigdy Szekspirem nie będzie. W przekładzie Hugona nie widać śladu ducha francuzkiego, owego ducha nazbyt praktycznego, ciągnącego na oślep korzyści z jakiejbądź, byle plennéj niwy. Widocznie więc użył tu tłumacz pośredniego języka, tworząc przekład *oryginalny, w którym pozwala Francuzom czytać po francuzku poetę angielskiego.* Szekspir pozostał ten sam, bo oprócz języka nic się w nim nie zmieniło!

Powiedzieliśmy powyżéj, że chcąc tłumaczyć Szekspira, należy wpierw zrozumieć pojęcia i język *swego* wieku i wycisnąć z nich najpożywniejsze soki i dźwięki, ażeby za ich pomocą rozwidnić czasy i twory oryginału. Pojął to wybornie tłumacz Szekspira. Franciszek Hugo, ożywiony genjalnemi pomysłami swego ojca, ugodził w sam rdzeń swego stulecia, w jego dążności i potrzeby.

Rzeczywiście też dochodzenie prawdy przebija tak samo z przekładu Hugona jak i z prac najnowszych utworów francuzkich. Obecne czasy Francji są chwilą nieustannego posuwania się w drodze gruntownych i specjalnych badań. Francuzi zaczynają szukać zarówno prawdy w objawach piśmiennictwa jak i w szczegółach polityki. I tem to jedynie wyjaśnia się owa moc rozpraw i pamiętników politycznych i społecznych, tem się tłumaczy zapał piśmiennictwa w wydawnictwie dzieł autentycznych, wiernych i nie poszczerbionych obojętnością wydawców.

Francja nie chce już posiłkować się nadrabianemi lub przekształcanemi dowolnie utworami genjuszu: ona chce sam na sam skomunikować się z myślicielami wieków i narodów, chce sama spojrzeć się w nieprzymglone ich lica, chce myśleć z nimi, żyć z nimi, i mówić z nimi na jawie, a to wszystko przy pomocy ludzi takich, jakich znalazła we Fraciszku Hugonie. Tłumacz Szekspira uiścił się jak można było najgodniéj ze swego zadania. Dzięki kilkoletniéj pracy jego, Francja może dzisiaj patrzeć się zbliska na poetę angielskiego i czytać w dramatach jak we własnéj duszy jego, bo sumienny i genjalny przekład

Hugona nie uszczerbił w niczem téj wzniosłéj postaci.

Praca Hugona nie ogranicza się li na wytłomaczeniu dramatów Szekspira. Tłumacz dotyka całéj sztuki w ogóle, a teatru angielskiego po szczególe, oraz wszystkich kwestji szekspirowskiego talentu; widzi w nich dzieje i zawiązki wypadków społecznych, odsłania węzły łączące poetę z jego wiekiem, szuka zacząków każdego tworu z osobna, szuka źródeł natchnienia poety, rozwija obraz jego twórczości poetyckiéj, jednem słowem, cały byt Szekspira rozmieścił tłumacz w bogatych przypisach. W historycznéj, krytycznéj i bibliograficznéj części, komentarz Hugona należy niezaprzeczenie do najoryginalniejszych pomysłów tego rodzaju. Ileż-to tam rozjaśnionych tajemnic owego czarującego teatru!... Szczytnie i gorąco nakreślona jest filozoficzna część objaśnień: widząc w nich cały świat idej i postaci Szekspira. Franciszek Hugo nie zapomina i o najmniejszéj, najbledszéj postaci; broni z poświęceniem każdéj piędzi niwy szekspirowskiéj; wszystko co tylko posłużyćby mogło do rozwidnienia idej sprawiedliwości, postępu i prawości, w całym blasku przez tłumacza na jaw wydobytem zostało.

Być może iż w przypisach tych zamiast wyobrażeń z czasów Szekspira, znalazłoby się może dużo cierpkiego przymówienia i zastosowania do naszych czasów wypychającego nas niejednokrotnie z zachwytu szekspirowego — aleć za to w przekładzie samym na podobne wybryki tłumacz rzucić się nie śmiał; tłumacz bada jedynie w utworach poety ideje swego czasu, widzi w dalekiéj przeszłości korzenie teraźniejszości, rozbiera prawdy, które Szekspir gadał nietylko swemu lecz i przyszłemu pokoleniu.... i takie pojmowanie warunków rzeczywistego przekładu maże w oczach naszych wszelkie inne usterki tłumacza. Doniosłość przekładu Hugona i wpływ jego na kierunek piśmiennictwa francuzkiego nieda się jeszcze dzisiaj rozmierzyć dostatecznie; spodziewać się atoli należy, iż za wpływem Hugona znikać zaczną powoli uprzedzenia Francuzów do obcych literatur i że przecież innemi oczami patrzeć się zechcą na rozwój i wartość oświaty u innych narodów. Zasmakowanie Francuzów w dramatach Szekspira, owych tworach najwyższego piękna i wykończenia jest zawsze wróżbą wszechstronnego uduchownienia się i pierwszym szczeblem do poznania prawd, mieszczących się w genjalnych płodach Szekspira; warto, ażeby Francuzi całą myślą zanurzyli się w ten świat poety angielskiego i poznali przy pomocy hugonowskiego przekładu, najskrytsze tajemnice jego.

*August Jeske.*

---

# Pogadanka Tygodniowa

Stare jak świat prawie zdanie, że nikt nie stanie się prorokiem we własnéj ojczyźnie, wybornie sprawdziło się na p. Dawisonie, a codzień sprawdza się na licznych naszych artystach, którzy zaledwie tu cierpiani, w obcych stronach stają się pierwszorzędnemi, rozbrzmiewając sławą po całéj Europie. Tą samą drogą szedł i p. Dawison, a zdobywszy dwa talizmany szczęścia, dwie dusze ludzkości, sławę i pieniądze, przyjechał do Warszawy zemścić się szlachetnie, za okazaną oziembłość Warszawy w pierwszych chwilach swego artystycznego zawodu.

Skargi jednak na nieuznanie i niewłaściwe ocenienie, nie zawsze są słuszne. Każdy talent, choćby genjalny, rzadko kiedy od razu występuje w całéj swéj pełni, ale kształci się, rozwija, i drżący, bojaźliwy zrazu, późniéj dopiero wyrasta w olbrzyma, pełną garścią zbierając oklaski i uwielbienie. Cóż więc kraj winien, jeżeli wykluwający się i przewidywany dopiero talent, przyjmuje protekcjonalnie, chowając oklaski na późniéj i radząc naukę i pracę? Taka oziembłość bywa dla prawdziwego talentu bardzo skuteczną ostrogą, przykrą wprawdzie i bolącą, ale w lekarstwie nie szuka się smaku tylko skuteczności. I pan Dawison nie był od razu tym, czem późniéj został, i on z Warszawy, nie wyjechał artystą skończonym, ale dopiero wiele obiecującym. Nadzieja nie zawiodła, p. Dawison między obcemi zdobył wszystko za czem człowiek goni, czego pożąda i pragnie ale o nieuznanie winić nas nie można i pewny jestem, że i sam Artysta zarzutu tego nie robi. Pobudki skłaniające go do odwiedzenia Warszawy jak należy oceniamy, w poświęceniu zaś genialnéj swéj gry na korzyść nieszczęśliwych pogorzelców, widzimy że człowiek w panu Dawisonie dorównał artyście.

Przejście nagłe z tych uwag do linochoda Blondina będzie cokolwiek rażącem, ale w Warszawie jak w każdem dużem mieście, często weselna drużyna przewija się około orszaku pogrzebowego, więc przebaczcie Waszemu gawędziarzowi, że błądząc po manowcach kronikarskich, odrazu robi skok od wielkiego artysty, co zachwyca i podnosi, do skoczka dorównywającego śmiałością strasznemu przerażaniu. Ciekawy to figiel chodzenia po linie w tak znacznéj wysokości, do tego z zawiązanemi oczami, z worem na głowie, albo z człowiekiem na plecach.

Ciekawych też nie brakowało; w powrocie z przed-

stawienia od rogatek Mokotowskich Alejami i Nowym-światem, chodniki czerniły się gęstą masą powracających, a ulice warczały, trajkocząc niezliczonemi powozami, dorożkami, omnibusami, bryczkami, dryndulkami, wierzchowcami, przepełnione spieszącemi na łeb na szyję, na inne miejskie zabawy i wieczorne domowe zebrania. Zebranie więc było liczne, ale powiększyłoby się znacznie, gdyby nie dowcipny pomysł puszczania przez rogatki tylko osób w bilety zaopatrzonych. Liczne więc tłumy oblegające zwykle miejsca wszystkich nadzwyczajnych przedstawień, rachujące się pilnie z wydatkiem już nie złotówki ale pojedynczego grosza, chciwe widowisk szczególniej grożących złamaniem karku, chcąc nie chcąc musiały pozostać w miejskim obrębie. Biedacy! jakiż okropny zawód ich spotkał.

Z pociechą jednak przyznać muszę, że widowisko tak straszliwe, nie obudziło zajęcia i zadowolenia jak pragniono i może spodziewano się. Narażanie życia zawsze jest okropne, gdy jednak dla krociów p. Blondina zarobek kilku, choćby kilkunastu tysięcy nie jest już tak wielką rzeczą, pytam się dla czego już nie zabastuje w téj okropnéj grze, w któréj najmniejszy popłoch nieprzewidziany, lot nagły ptaka, brzęk lub ukłucie muchy, już mogą naruszyć równowagę, i strącić w otwartą pod nim przepaść? — Że liczne tłumy ciekawych zgromadziły się na te niebezpieczne igrzyska linochodowe, nie dziwię się wcale, bo jeżeli znakomite stolice całego świata, nie szczędziły grosza na zapłatę zręczności i śmiałości pana Blondina, dla czegóżby i Warszawa nie miała przyłożyć cegiełgi, do budowy worka jego z liny wykręcanego? Ale dajmy pokój staréj téj piosnce moralistów dziennikarskich, a naśladując skoki Blondina przeprowadzę Was na prozaiczne pole handlu, daleko pożyteczniejsze a więc i więcéj interesujące.

Otóż z ogłoszeń pism perjodycznych, i z narzekań gospodarzy, wiadomo powszechnie, że tegoroczne żniwa z powodu ciągłych deszczów bardzo źle wypadły. Skutkiem tego, ceny zboża znacznie się podniosły, i idąc ciągle w górę dawały nadzieje coraz pomyślniejszego targu. Każdy więc przy przedaży drożył się, wyczekiwał jak mógł najdłużéj, aż tu nagle ni ztąd ni z owad, zjawia się artykuł w jednem z pism Warszawskich, w którym autor bardzo delikatnie oświadczywszy, że uważa pewną przyjemną reakcję w ponurych doniesieniach o stanie zbiorów tegorocznych, napomyka późniéj o pogodzie sprzyjającéj zbiorom jarzyny, o lepszych widokach na kartofle i buraki, o zapasach starego zboża większych jakby sądzić należało o stagnacji targów zagranicznych zaopatrywanych ziarnem ze Wschodu i Ameryki i wreszcie o wyprawach mąki w znacznych partjach z Cesarstwa. Wszystko to są rzeczy może i prawdziwe, ale jakoś zdają mi się strasznie podejrzane. To zręczne ograniczenie się na prostych zupełnie wiadomościach, staranne omijanie wszelkich wniosków i wróżb co do ceny, bardzo jest wymowne. Nie wiem dlaczego, ale przy czytaniu, z każdéj litery widziałem spoglądające na mnie oko zbożowego spekulanta, śledzącego pilnie i w tajemnicy wrażenie jakiego doznawałem. Być może że jestem w najzupełniejszym błędzie, ale ostrożnym być nie wadzi, a przestroga z obowiązku do mnie należała.

W tych dniach otrzymałem list od osoby dobrze mi znanéj i szanowanéj następującéj treści.

Panie Redaktorze!

Znane mi są dobre Wasze chęci, dla tego donoszę, że pani Grzywińska wdowa po rejencie, otworzyła w pałacu hr. Uruskiego zakład nauki kroju i praktycznego szycia dla panien, gdzie za pewnem skromnem nader wynagrodzeniem, podejmuje się uczenia wszelkiéj krawiecczyzny damskiéj, oraz kroju i szycia bielizny. Każdéj z matek wiadomo, ile w domowem zajęciu znajomość tego jest potrzebna, nawet w rodzinach zamożniejszych; ile oszczędzić może niepotrzebnie nieraz marnowanych pieniędzy, nie mówiąc już o tem, że wrazie niespodziewanego nieszczęścia, stać się może środkiem uczciwego zarobku i zapewnić tak drogocenną niezależność. Zakład a raczéj szkoła pani Grzywińskiéj, opatrzona nadzorem osoby tak powszechnie jak ona szanowanéj, obok nauki daje wszelką rękojmię uczciwéj opieki nad młodemi uczącemi się panienkami. Dlatego chciéj Panie Redaktorze, w piśmie swem polecić panią Grzywińskę, lub wreszcie zawiadomić tylko Czytelniczki Tygodnika Mód, o tyle ważnym dla nich zakładzie. Chciéj przyjąć i t. d. L.

Sądzę, że najwłaściwszem było ogłoszenie niniejszego listu, dla tego do wymownych słów pani L. własnych żadnych nie dodaję.

---

Drugi list jest smutniejszéj treści; bo donosi o zbyt wczesnéj śmierci ś. p. Antoniny Olszowskiéj, któréj kilka poezyjek drukowanych było w Tygodniku Mód z podpisem Antonina z nad Warty. Korrespondentka p. Alina P. z Kalisza, donosząc o tem przesyła zarazem stosowny wiersz, dodając, że pisała go ze łzami, i z sercem przepełnionem boleścią po stracie tyle ukochanéj i tak dobréj istoty. Wiersz ten chętnie pomieszczamy, bo kiedy młode pączki pełne nadziei, zmuszeni jesteśmy składać w mogile, niechże w szpaltach perjodycznéj literatury zostanie choć dowód naszéj pamięci i szczerego żalu, z utraty wiele obiecującéj pracownicy, na niwie ojczystego piśmiennictwa.

### POŚMIERTNE SŁÓWKO

POŚWIĘCONE PAMIĘCI

Antoniny Olszowskiéj.

---

Biały aniele zostań tu z nami!
Nie giń w błękitów przezroczy!
Widzisz jak serca zalane łzami,
Jak żal matczyną pierś tłoczy.

Wszakże tu miałaś pod rodzinną strzechą
Tyle miłości — szczęścia tak wiele—
Byłaś nam słonkiem — oczu pociechą,
Czegóż ci brakło biały aniele?

*(Dodatek).*

O zostań z nami! czystym twym duchem
Ucz nas miłości, nadziei, wiary,
Opasz nam serca silnym łańcuchem
Wspólnéj modlitwy, pracy, ofiary.

* * *

Anioł ku niebu zwrócił źrenice,
Pochylił główkę w świętéj pokorze,
I wyrzekł: łzami zlewając lice
Bądź wola Twoja, mój mocny Boże!

*Alina.*

---

# O UBIORACH

Z nadchodzącą jesienią coraz więcéj daje się widzieć pięknych tkanin wełnianych na suknie, piękniejsze z tych przerabiane są z jedwabiem w dwóch odcieniach. Uważaliśmy między niemi śliczny wyrób w kolorze brązowym, przerabiany w muszki jedwabne złotego koloru. Inne znowu są w ukośne prążki, przerabiane jedwabiem i mieniące się z czarnym. Oprócz tych wyrobów noszą także bardzo wełnianą lub jedwabną popelinę w szerokie i wązkie pasy np. czarne z fijołkowym, brązowym, szafirowym lub popielatym.

W magazynie pana Penkali szczególniéj podobał się nam wyrób *étincelle* mieniony w dwóch kolorach, jak również *drap d'or* gładkie, ciemno hawanna, popielate, szafirowe i fijołkowe od złp. 6 gr. 20 do złp. 9.

Do praktycznych i tanich wyrobów należy fular wełniany zwany *Crétonne*, drukowany w cienkie paski czarne na tłach rozmaitych. Dostać go można łokieć od złp. 4. W lepszym gatunku na fijołkowym tle w czarny marmurek kosztuje złp. 6 gr. 20. Z tanich wyrobów polecamy tkaninę zwaną *Puebla* na tle brązowem, popielatem, hawanna i lilla w marmurek drobny po złp. 3 gr. 10. Stosunkowo do ceny gatunek w tym materjale bardzo jest dobry, a pod względem gustu nieustępuje drogim nawet materjom wełnianym.

Do sukien popelinowych robią stanik z dosyć długą baskiną, obciśniętą w stanie paskiem jedwabnym. Z innych zaś wyrobów wełnianych robią spódnice i krótkie paletociki, które służą zarówno do pokoju jak i do wyjścia na ulicę. Wszystkie te suknie w ogólności nie mają u dołu żadnego garnirunku, zakończone są po prostu plecionką albo szmuklerskim sznurem. Paletocik rozcięty w tyle do stanu, po dwóch bokach naszyty jest rzędem guzików, tworzących jakby długie kieszenie. Przód spina się na takież same guziki. W koło paletotu wypustka lub sznur całą stanowi ozdobę. Guziki bywają białe z konchy perłowéj, albo stalowe wyrzynane w deseń; a niekiedy nabijane maleńkiemi ćwieczkami. W rękawach nie widać zmiany, robią je zawsze ścięte do łokcia i obcisłe. Do niektórych dodają mały naramiennik, złożony z paska przytwierdzonego guzikami. Dajemy tu szczegółowy opis kilku sukien jakie nam się widzieć zdarzyło.

Suknia popelinowa w popielate i szafirowe pasy, nie miała u dołu żadnego garnirunku. Pod spód szła spódniczka szafirowa gładka, wycinana u dołu w kwadratowe zęby (*en créneaux*) objęte sznureczkiem szmuklerskim. Wierzchnia spódnica bez żadnych klapek ściągała się tylko z pod spodu na sznurki. Stanik gładki obcisły spięty na guziki z białéj konchy, miał wypuszczoną do koła baskinę długą na pół łokcia. W stanie przepasany był szafirowym pasem. Rękawy ścięte, gładkie, nie dochodziły zupełnie do ręki, lecz z pod nich wyglądały, jakby drugie rękawki szafirowe, zakończone zębami. Krawatka gładka szafirowa dopełniać miała ubrania.

Zęby *en créneaux*, o których wspomnieliśmy powyżéj, bardzo dziś używane, są po prostu rozcięte, bez żadnego zaokrąglenia.

Druga suknia popielata popelinowa w drobniuchną czarną krateczkę, miała spódniczkę, naszytą wzdłuż przodu trzema rzędami czarnéj aksamitki szerokiéj na palec. Na téj aksamitce szły rzędem guziki stalowe nie wielkie w kształcie gwiazdek. Paletocik obcisły do figury naszyty był w koło takąż samą aksamitką z gwiazdkami. Kieszonki po bokach, miały klapki podobnież przybrane. Odpowiednie naramienniki i mankiety dopełniały całości. Paletocik przepasany był czarnym jedwabnym pasem, nabijanym w stalowe gwiazdeczki.

Trzecia suknia przeznaczona dla młodéj mężatki, z gęstéj gazy *Chambery* (bleu mexique) miała spódnicę wyciętą w wielkie okrągłe zęby, ogarnirowane białą frendzlą angora, z pod tych zębów spadał wolant układany w kontrafałdy w odstępach. Staniczek, a raczéj gorsecik Szwajcarski sięgał tylko do pachy, u dołu zaś miał baskinę wyciętą w zęby, ogarnirowane zarówno frendzlą. Gorsecik ten bez ramiączek spinał się z przodu na rząd białych guzików. Pod spód szedł drugi stanik biały muszlinowy, przeszywany wstawkami *Cluny* z szerokiemi rękawami, i wyłożonym kołnierzyczkiem, zakończonym u szyi kokardą niebieską.

(*Dodatek do Nr. 39 Tyg. Mód.*).

Do ubrania na obiad lub na wieczór, bardzo w tym roku używane kaftaniki czyli paletociki z czarnéj koronki wełnianéj, przepasane w stanie pasem czarnym.

Ubiorki najmodniejsze na głowę, składają się z potrójnéj opaski aksamitnéj, zczepionéj po bokach, i zakończonéj długiemi końcami, które się okręcają w koło warkocza. Oddawna już pisaliśmy o téj modzie, ale powtarzamy tu o niéj gdyż dotąd nic nowego nie wymyślono. Do tych opasek, przyczepiają zwykle siatkę do pokrycia warkocza. Jeżeli opaski naszywane lawą, wtedy i siatka powinna być przerabiana takiemiż paciorkami. Widzieliśmy także podobne opaski ozdobione w ten sposób: pasek przechodzący nad czołem, miał wyszyty diadem, sznureczkiem złotym albo srebrnym, takież samo wyszycie dane na pasku ostatnim, przechodzącym po nad warkoczem, tworzyło jakby grzebień, środkowy tylko pasek, żadnéj niemiał ozdoby. U niektórych znów pasków, spadają cekiny złote, na czoło i na warkocz. Widzieliśmy nakoniec owe potrójne opaski tak urządzone, że od ostatniego, od strony warkocza, przechodziły trzy takież paski w prostopadłym kierunku, przeznaczone na pokrycie koków, przyczepione pod włosami do rulonika.

Z pomiędzy okrywek najwięcéj jeszcze używane paletoty, co do formy niewidziemy różnicy, całą cechę nowości stanowi przybranie ich i guziki. W magazynie pana Penkali odznaczał się wytwornym gustem popielaty z wyrobu *ratiné*, wcinany do figury, obszyty frendzlą z czarnéj angory; inny z takiego samego materjału koloru brązowego, przybrany kapturkiem z kwastami angorowemi i grubym sznurem mięszanym ze szenelą. Ładny też był paletocik sukienny koloru orzechowego ozdobiony guzikami w kształcie muszli, przybrany z tyłu dwiema długiemi szarfami ze wstążki rypsowéj szerokiéj na cztery palce.

Paletociki krótkie po największéj części sprowadzono w kolorze popielatym rozmaitych odcieni, w rodzaju kędzierzawego baranka lub pluszu.

Okrycia długie na porę zimniejszą wszystkie prawie robią z czarnego lub granatowego *bristolu*, ubrane wstążką morową, taśmą szmuklerską, i frendzelką jedwabną na trzy palce szeroką. Cena ich w magazynie Pana Dziechcińskiego od rs. 20 do rs. 30. Krótkie paletociki popielate, które dziś nosić można do wyjścia na ulicę a późniéj w pokoju, dostać można od rs. 12 do rs. 17.

Najtańsze kaftaniki marynarskie z popielatéj syberyny wynoszą tylko po rs. 6.

W tymże magazynie znakomity też jest wybór paletocików i kaftaników dla dzieci od dwóch lat po rs. 4.

---

## O MATERJACH

### NA OBICIE MEBLI, NA KAPY, PORTJERY I O SERWETACH KOLOROWYCH.

---

Do przyjemności życia, w którem wzgląd na piękność sztuki niemałą odgrywa rolę, bez zaprzeczenia należą gustowne sprzęty domowe a mianowicie kanapy, sofy, krzesła i fotele jako rzeczy w ciągłym zostające użytku. Przedmiot to na pozór błachy a jednak któżby uwierzył, że i w meblach odbija się duch czasu, że i meble jak człowiek mogą mieć swoją historję i że wiadomości o ich poręczach, rzeźbach, wyściełkach, kantach jak się zmieniały, przedłużały, skracały, nie tylko mogą być ciekawe, ale i nauczające.

Nie wdając się w obszerne wywody jeden fakt objaśni wszystko. Kiedy za Ludwika XIV we Francji siłą woli jednego człowieka gruntowała się potężna monarchja, gdy trzeba było koniecznie jednéj dłoni nadać siłę miljonów, wszystko korząc się i lękając, posłuszne na najmniejsze skinienie niewieściego paluszka, wszechwładnego wówczas na dworze, w postawie swéj, przy rozmowie, jedzeniu lub piciu musiało przybierać równie pozorność korną i pełną uszanowania, wyrażającą niby natychmiastową gotowość do wykonania wydanego sobie rozkazu, czy przez usta wybranéj piękności, czy monarchy a swego pana.

Ztąd to krzesła z owego czasu mają poręcze wysokie, filgranowe, rzeźbione z największą starannością, bo moda i etykieta dworska wymagały siedzenia prostego bez żadnego opierania się, na koniuszczku stołka, jak to i dziś widziemy u szukających opieki, protekcji i pomocy w zabiegu o kawałek powszedniego chleba. Oparcie więc nie potrzebowało być ani mocne, ani miękkie, na przyozdabianie zatem jego szczególniéj wysilał się kunszt rzeźbiarski i taki to głównie charakter: filgranowość, piękność rysunku, delikatność wyrobienia mają wszystkie meble z owéj epoki.

Dziś inna moda: wygoda główne zajęła stanowisko, spotężniałe jednostki, pogardziły nawet dawnym pozorem, z poręczy więc znikła delikatna rzeźba, miejsce jéj zajęły miękkie poduszki i materjały na okrycie mebli stały się bardzo rozmaitemi.

Z tych które oglądaliśmy w magazynie pani Kwiatkowskiéj do najbogatszych należą adamaszki czysto jedwabne w kolorze karmazynowym, perłowym, niebieskim i cytrynowym. Nietrzymają całego łokcia szerokości, cena jednego złp. 20 wynosi. Po nich idą aksamity utrechtskie w rozmaitych kolorach zupełnie gładkie, szersze od adamaszków o ćwierć blizko łokcia, a sprowadzane tylko w wyborowym gatunku tak zwanym *prima*. Niższe bowiem gatunki mniejszą zalecają się trwałością, co przy kupnie tak kosztownego na meble materjału, na pierwszym należy mieć względzie.

Bardzo podobnym do aksamitu, z tłem nadzwyczaj go naśladującym, są *koteliny* jedwabne ze spodem bawełnianym przerabiane jedwabiem, szerokie łokci $2^1/_4$. Cena łokcia złp. 33 gr. 10. Wełniane téj saméj szerokości przedają się po złp. 16 za łokieć.

Daléj idą *Brokatele* z małą ilością bawełny, szerokie tylko łokci 1, w cenie od 16 do 18 złp. Repsy przerabiane jedwabiem w pasy lub rzuciki szerokie łokci $2^1/_4$, których cena stosownie do bogactwa desenia a zatem użytego do nich jedwabiu, wynosi od złp. 26 gr. 20 do 30 złp. Używają się nie tylko na meble, ale równie na kapy i na portjery. Repsy zupełnie gładkie, dawniéj wyrabiane z bawełną teraz czysto wełniane szero. łok. $2\ ^1/_2$ przedają się po złp. 15 za łokieć.

Do najtańszych należą perkale nieglansowane zwane *Crétonne*, wyrób zupełnie nowy, i bardzo ładny, i zwyczajne glansowane, oba szerokie po łok. $1^1/_2$. Cena ich jest zmienna stosownie do ilości kolorów użytych w deseniu, i łokieć *kretonu* płaci się od złp. 5 do 6, perkalu glansowanego od złp. 3 do 6. Tych

ostatnich używają do wybijania nawet całych pokoi, np. sypialni lub pokoików damskich do przyjmowania gości. Po okryciu niemi ścian, na sufitach układają się w fałdy, a z końców tworzy się w samym środku rozeta. Dla harmonji w pokojach tak przyozdobionych, tego samego materjału używa się na meble i portjery przy drzwiach. W tym samym Magazynie p. Kwiatkowskiéj oglądaliśmy wyrób maszynowy zwany *Moquette*, naśladujący gobeliny z deseniem bogatym w armatury lub arabeski, przeznaczonym na portjery i kapy.

Wyrób to piękny i trwały, bardzo przypominający owe sławne gobeliny, stanowiące wyłączną chlubę Paryża, ale cena jego niezmiernie wysoka od złp. 66 gr. 20 do 100 za łokieć dochodząca, przy szerokości pół trzecia łokcia. Rzadko go też można znaleść w handlu detalicznym, i zwykle sprowadzany bywa tylko na obstalunek, dla panujących domów lub rodzin bardzo bogatych. Piękności nie można mu odmówić, ale brak mu téj okazności, co to pociąga wytwornym gustem i czystym ponętnym kolorytem.

W serwetach do okrycia stołu równa znajduje się rozmaitość. Najdroższe są wełniane prerabiane jedwabiem, tak zwane gobelinowe w stylu Ludwika XV-go w lilje; w bukiety i kłosy zwane *Genre Pompadour*, i w guście chińskim lub japońskim, poprawnym naturalnie według wykształconego europejskiego smaku. Cena odpowiednio do wielkości serwety i bogactwa deseniu wynosi od złp. 100 do 500. Jedne z nich są kwadratowe szerokie łok 3 albo 3 ¹/₂ inne prostokątne do okrywania stołów owalnych przeznaczone.

Serwety rypsowe drukowane po największéj części w kwiaty, arabeski i medaljony szerokie łok. 2 ³/₄, wyrabiane są z wełny ordynarniejszéj, dosyć szorstkiéj i dla tego cena ich znacznie jest niższą od złp. 60 do 86 gr. 20 najwyżéj wynosząca. Takie same rypsowe ale tkane jedwabiem kosztują nie wiele więcéj, bo po złp. 93 gr. 10 do 100, a to z tego powodu, że na ułożenie na nich deseniu z jedwabiu tkanego, używane są tylko dwa kolory powiększéj części karmazynowy i orzechowy, co naturalnie na obniżenie ceny całéj serwety niezmiernie wpływa.

O deseniach, arabeskach i medaljonach tak na materjałach do obicia mebli służących, jak i serwetach niepodobna obszernie się rozpisywać. Jeżeli bowiem gładkie materje zalecają się pięknością kolorów, desenie znowu gustem i szczególną poprawnością rysunku. Sztuka wspierana przez wszystkie ucywilizowane społeczeństwa, gromadząc pod swą chorągiew, coraz większy zastęp artystów, jednym stosownie do siły posiadanego talentu, otwiera szerokie pole do prac, nagradzanych wieńcem nieśmiertelności; drugich zmusza do zajęć nie przynoszących wprawdzie sławy, ale w praktycznym kierunku nierównie pożyteczniejszych, bo wpływających na kształcenie ogólnego gustu, a tem samem i serca. Dlatego we wszystkich deseniach, arabeskach i medaljonach w materjach powyżéj opisanych, czy to na bogatych adamaszkach, czy na skromnych perkalach, znać wszędzie rękę prawdziwego artysty, starającego się nie tylko o dobre wykończenie, ale i o zadowolenie własnego uczucia piękna. Dla takich to artystów nieprzeliczone zbiory starożytności pomieszczone w muzeach stolic europejskich, z wolnym wstępem dla wszystkich bez najmniejszéj różnicy, są niewyczerpanym skarbem gustu i pomysłów, zapewniający coraz szlachetniejszy ich rozwój. One to broniąc od zatracenia, wyroby sztuki zamarłych wieków, wiążąc prace myśli przeszłości z obecnością, nadają ludzkości we wszystkich kierunkach pełnią życia z obrazem ogólnego postępu.

Tam artysta rysownik, z odłamków, z kamyczków, z bronzów, marmurów i szlachetnych metali: z ozdób, ubiorów, sztukaterji z posągów i nagrobków, dawnych Greków, Rzymjan, Indjan, Chińczyków, Arabów, a nawet ludów dzikich i mało znanych, zbiera wzory, przekształca je, upięknia, i otoczywszy smakiem nowoczesnym, upowszechnia w wyrobach fabrycznych, rozchodzących się późniéj po całym świecie. Popęd ten cywilizacyjny wprowadzający coraz większe tłumy w obszerne salony muzeów starożytności, zaludnionych przedtem tylko ludźmi nauki, musiał się odbić nawet w tak małéj drobnostce, jak są desenie na materjach powszechnego użytku. Przepatrywanie bowiem prace sztuki wiekami opylonéj, obudzając podziw i uwielbienie, natchnęło przemysł do korzystania z nagromadzonych szczątków przeszłości, i z tąd pomysły do wszelkich rysunków i deseni, czy na materjach, czy na wyrobach plastycznych z metalu lub kamienia, zaczęły się rozwijać w guście greckim japońskim, chińskim i tym podobnie.

## ROZMAITOŚCI.

### KWIATY I OWOCE.

(*Dalszy ciąg.*)

*Przesadzanie.* Są krzewy silne które mogą długo wytrwać w jednych doniczkach lub naczyniach drewnianych, bez odmieniania ziemi, i pokrywają się kwiatem z każdą wiosną. Do tych należy *Bez* Perski, puszczony na jednéj łodydze. Jednakże po upływie jakiegoś czasu każda roślina wymaga przesadzenia. Najwłaściwsza na to pora, jest ta kiedy wegetacja spoczywa jeszcze w końcu zimy, na krótki czas przed jéj rozbudzeniem. Trzeba wtedy zostawić rośliny kilka dni bez podlewania, co w téj porze wcale im nie szkodzi. Ziemia sucha lepiéj odejdzie, od boków doniczki lub drewnianego naczynia. Odłącza się ostrożnie część ziemi w koło korzenia, który należy przeciąć. Wtedy trzeba wybrać nową doniczkę, pokryć otwór w denku skorupą, żeby go ziemia nie zapchała, i woda zbyteczna mogła tym łatwiéj ściekać. Doniczkę tę napełnić trzeba świeżą ziemią, do trzeciéj części zaledwie, wtedy w samym środku, stawia się roślina, wraz z ziemią przyschłą do korzeni, dosypuje się jeszcze trochę ziemi świeżéj, którą trzeba uklepać rękoma, i podlewa się lekko. Po takiem przesadzeniu, trzeba wystawiać roślinę na świeże powietrze, o ile temperatura pozwala na to, i skrapiać ją coraz obficiéj, w miarę jak się budzi wegetacja.

*Przezimowanie roślin.* W mieszkaniu dostatecznie ogrzanem, rośliny oranżeryjne najlepiéj rosną w zimie, i wtedy też sprawiają największą przyjemność. Inaczéj się dzieje z pomarańczą, granatem, myrtem

i oleandrem, równie jak z gwoździkami i lewkonją, słowem ze wszystkiemi roślinami, których wegetacja spoczywa podczas zimy. Owe rośliny jeśli giną przez zimę, to nie od chłodu, ale przeciwnie, od zbytniego ciepła. Najlepiéj też zachować je w piwnicy, lub w miejscu nieopalanem, gdzieby jednak nie marzło. Zostawione w ciepłym pokoju podczas mrozów, zaczynają wegetować przed czasem, słabe ich odrostki, odpadają wkrótce, i cała roślina usycha. Najlepiéj jeśli można trzymać je w pokoju suchym z wystawą południową, gdzie się pali jedynie tylko w wielkie mrozy.

*Temperatura.* Uprawiając rośliny w doniczkach na oknie lub w pokoju, lubownik kwiatów nie może tak jak ogrodnik z rzemiosła, zmieniać temperatury stosownie do ich potrzeb. Jest jednak pewna zasada, do któréj stosować się musi lubo w części: mówiemy tu o zachowaniu mniéj więcéj jednostajnéj temperatury. Rośliny w każdéj porze, ale szczególniéj zimą, tym są zdrowsze, im równiejsza otacza je temperatura. Nie raz panuje w pokoju ogromna różnica między temperaturą dzienną a nocną. Kamelja, cynerarja lub kalmja wychowane w cieplarni, pod wpływem jednostajnego powietrza, a potem nagle przeniesione do pokoju, gdzie po gorącu dziennem, następuje chłód nocny, muszą koniecznie wątleć i tracić pączki, a niekiedy nawet i liście. Trzeba więc starać się o ile można odpowiedzieć warunkowi, tak niezbędnemu dla zdrowia owych kosztownych roślin. W tym celu, potrzeba je oddalać o ile można od ognia, kiedy pokój ogrzany, a zbliżać je do komina wieczorem; aby nie ciérpiały chłodu podczas nocy. Wszystkie prawie rośliny kwitnące w zimie jak kamelje, lub w początku wiosny, jak kalmje rododendrony i azalee, najlepiéj się utrzymują, i najbujniéj kwitną, jeśli pozostają część zimy w pokojach mało ogrzanych, jak naprzykład w jadalnéj sali. Kiedy pączki mają rozkwitnąć, można je wtedy przenieść do ciepłego salonu.

Trzymając się ściśle przepisów, któreśmy powyżéj wskazali, można mieć ogródek w mieszkaniu, i cieszyć się w nim plonem własnéj pracy.

(d. c. n.)

---

## Opis ryciny z ubraniem głowy.

N. 1 i 2. *Sposób wykonania.* Potrzeba naprzód przeciągnąć linję w poziomym kierunku, od jednego ucha do drugiego; potem odebrać trochę włosów z każdéj strony, i ułożyć z nich małe nioby greckie. Po nad niemi przytwierdza się warkocz, rozszerzony w środku, zwężony po brzegach, pokryty drugiemi niobami, odwiniętemi od skroni. Z tyłu głowy, wpinają się koki z plecionych włosów, i przytwierdzają w górze greckim grzebieniem złotym; po nad grzebieniem przeciąga się warkocz. Z pod koków, i z prawego boku spadają utrefione loki. Z lewego boku wpięta róża.

N. 3. Odbierają się włosy przez środek głowy; warkocz związać potrzeba dosyć wysoko. Z przodu nioby z karbowanych włosów, drugie nioby odwrócone od skroni w górę, warkocz ułożony w koki spadające, jeden z pod drugiego. Na środku czoła pęczek fryzowanych loczków; nioby przepięte przez pół, opaską czyli bandeletką, koki z tyłu głowy pokryte niewidzialną siatką koloru włosów. Z lewego boku wpięta długa gałązka kwiatów, spadająca na boki.

N. 4 i 5. *Wykonanie.* Włosy odebrane wysoko nad czołem, i zczesane w górę, część włosów zostawiona przy skroniach, tworzy odwrócone nioby. Między jednym niobem a drugim, przypięte krótkie loczki powyżéj czoła. Nad loczkami przeciągnięty warkocz pokryty w środku złotą opaską, po bokach zaś odwróconemi nioba mi; nad opaską wpięte trzy złote gwiazdy. Końce włosów odwiniętych tworzą loki po nad warkoczem. Z tyłu głowy spada podwójny kok, otoczony w półkole, długiemi spadającemi lokami. Nad kokiem wpięty złoty grzebień. Za niobami przeciągnięta drugi raz opaska złota.

---

## DONIESIENIA.



---

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

---

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka, ze wzorami czesania włosów.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.




TYGODNIK MÓD
W. WARSZAWIE.